



# *Dzień w krainie pięknych koni*

*Tekst: Kamil Kasperek, Jacek Tokarski, zdjęcia: Jacek Tokarski*

**W masowej wyobraźni pokutuje mit Turcji jako turystycznego raju, jednak przede wszystkim dla tych, którzy lubują się w morskich i słonecznych kąpielach oraz handlowych utarczkach. Ten stereotypowy obraz poszerza się niekiedy o zachwyty nad orientalną urodą Istanbulu, ruiny Troi, wapienne tarasy Pamukale oraz baśniową scenię Kapadocji.**





▼ *O wspinaniu nie ma co marzyć, za krucho*

**P**o raz pierwszy byłem w Goreme jesienią 2005. Spędziłem tam kilka dni, koncentrując się jednak na zwiedzaniu starochrześcijańskich kościołów i klasztorów oraz podziemnych miast. Z okien wysłużonego forda, w dodatku jako kierowca, podziwiałem w oniemiałym zachwycie zaskakującą swą ilością i różnorodnością kształtów formacje skalne. Wygospodarowałem jedynie kilka godzin na krótki spacer pośród nich. Kończyłem go z nieco naiwną nadzieją, że na pewno tu jeszcze wrócę. Choć w głębi serca marzyłem wtedy o zwiedzaniu zupełnie innych miejsc i krajów.

Durne nadzieje mają to do siebie, że ziszczają się szybciej i piękniej niż byśmy mogli sobie wyobrazić. Niecałe trzy lata później znowu jechałem do Goreme. Tym razem nie w towarzystwie ukochanej, ale Jacka, z którym łączą mnie relacje zgoła innej natury. Perspektywa spotkania z Kapadocją wynagradzała tę towarzyską niedogodność☺. Kierowca fiata Punto, wiozący nas z Ankary, niespecjalnie troszczył się o przestrzeganie ograniczeń prędkości i omijanie drogowych nierówności, kołysząc nas do snu z یشie turecką fantazją.

Poranek przywitał nas ostrym słońcem. Plan naszego tygodniowego poby-

▲ *Ten widok ciągle będzie zadziwiał*

Jeszcze takie grzybki ►



▼ Wnętrze kościoła – upragniony chłód i spokój duszy



tu w Turcji obejmował jeszcze wizytę w górach Ala i pobyt w Stambule, dlatego te półtora dnia, które przypadają na Kapadocję, chcieliśmy wykorzystać jak najintensywniej. Nieocenioną pomocą był nasz przewodnik Emre z agencji turystycznej Sobek. Nastawiliśmy się bowiem przede wszystkim na zwiedzanie kapadockich dolinek, a te, bez bezpośrednich informacji od osoby, która zna trasy dość słabo oznaczonych szlaków, mogą się wydawać odrobinę orientacyjnie nieoczywiste.

Wędrówka kapadockimi dolinkami należy do kategorii długiego spaceru, na który wybrać się może każdy, niezależnie od wieku (oczywiście w granicach rozsądku – prababciom odradzamy) oraz kondycji (ci, którzy nie wstają od komputera mogą wspominać go potem jako trekkingowe ekstremum☺). Bez względu na to jednak należy pamiętać o zapasie wody, bo upał – nawet wiosną – bywa nieznośny, a na naszej trasie nie znajdziemy nic, co mogłoby ugasić nasze pragnienie. Oczywiście to reporterska przesada, mająca dodać naszej wędrówce niezbędnego w każdej relacji elementu dramatyzmu. Idźmy więc dalej tym tropem... W nieco lepszej sytuacji znajdują się wędrujący dolinkami latem lub jesienią, bo mogą liczyć na owocowe zasoby pojawiających się gdzieś tam winnic i sadów. My jednak byliśmy o tej porze roku, kiedy nawet napotkany żółw wyglądał na spragnionego.

Zaczynamy naszą „przechadzkę” od Doliny Białej. Oglądane do tej pory z oddalenia tufy, równie silne wrażenie robią, gdy możemy ich dotknąć i dokładniej przyrzeć się ich grzybiastym kształtom. Woda i wiatr dały się poznać jako prawdziwi i cierpliwi artyści. Ilość i bogactwo ich dzieł po prostu poraża. Opowieści, że baśniowy krajobraz, że niezwykle formy, że monumentalne grzyby skalne w żadnej mierze nie oddają piękna tego miejsca. Niewyraźna ścieżka wiedzie wśród cudów natury i punktów widokowych, które co chwila wymuszają postój. Trzaska migawka, wymieniamy uwagi. Emre co chwila pokazuje kolejne atrakcje, jak chociażby występujące tylko w Białej Dolinie trzęsionowe głowice skalnych kolumn.

Dotykamy tuf, są tak delikatne, że można je łupać gołymi rękami. Wewnątrz puste służyły dawniej jako mieszkania i pomieszczenia gospodarze dla rolników. Dziś ci ostatni wykorzystują je na schowki na narzędzia i schronienie przed upałem w czasie pracy w polu. Dowiadujemy się, że swego czasu (podobno) tufy wykorzystywano jak cele, ale więźniowie zbyt szybko poradzili sobie z kruchymi ścianami.

Po ponad dwugodzinnym marszu opuszczamy dolinę i udajemy się w kierunku widocznego z oddali zamku w Uchisar. Podejście na wzgórze, na którym stoi, w samo południe to istna mordęga. Idziemy po brukowanej drodze,



▲ Open Air Museum



◀ Tak też można zwiedzać

▲ Smak Turcji

prowadzącej wśród remontowanych lub budowanych domów. Nie dość, że męcząco, to w dodatku brzydko. Nasze butelki są już od dawna puste. W pierwszej napotkanej knajpie, o dość zaskakującej nazwie „Home of Memory”, wlewamy w siebie kilka szklanek zimnej, ożywczej wody. Ta, podobnie jak piwo Efez, należy do prawdziwych rarytasów. A może to jedynie pragnienie przydało jej tego wyjątkowego smaku?

Jeszcze kilkadziesiąt metrów w górę, 5 tureckich lirów i stoimy na szczycie budowli, nazywanej zamkiem. To wykuta w skale twierdza imponujących rozmiarów, która służyła już najstarszym mieszkańcom tych ziem – Hetytom. Podziwiamy wspaniałą panoramę, patrząc na wąwozy Doliny Białej i Doliny Gołębi, którą będziemy wracać do Goreme. Zanim to jednak nastąpi czeka nas ponowna wizyta w Domu Pamięci i przepyszny obiad (niezapomniane grillowane mięsne kuleczki i pistacjowy deser).

Dolina Gołębi, nazywana tak z racji wydrążonych w skałach licznych gołębników, choć podobna do Białej, wygląda na bardziej zagospodarowaną. Więcej na naszej trasie spotykamy winnic i niewielkich pól uprawnych. Patrząc na prymitywne ogrodzenia, suchą, piaszczystą glebę, nie sposób nie myśleć o wysiłku pracujących tu ludzi, którzy z trudem skałom i palącemu słońcu wrywają kawałek ziemi, gdzie sadzą krzewy i drzewa owocowe lub winorośle. W drodze towarzyszy nam Kanadyjka, którą sprytny przewodnik podrzucił naszemu, by potem odebrać ją w Goreme. On dotarł tam w ciągu kwadransa autem – my po półtoragodzinnym marszu.

Mieliśmy jeszcze dość czasu, by odwiedzić wyjątkowe Open Air Museum. To kompleks pochodzących z X i XI wieku kościołów i klasztorów chrześcijańskich, wykutych w skałach. Zdobia go wspaniałe malowidła (warto odwiedzić zwłaszcza tzw. Ciemny Kościół, gdzie zachowały się one w najlepszym stanie). To popularne miejsce niemal zawsze jest pełne turystów z całego świata, trzeba więc nieco sprytu i determinacji, by wcisnąć się



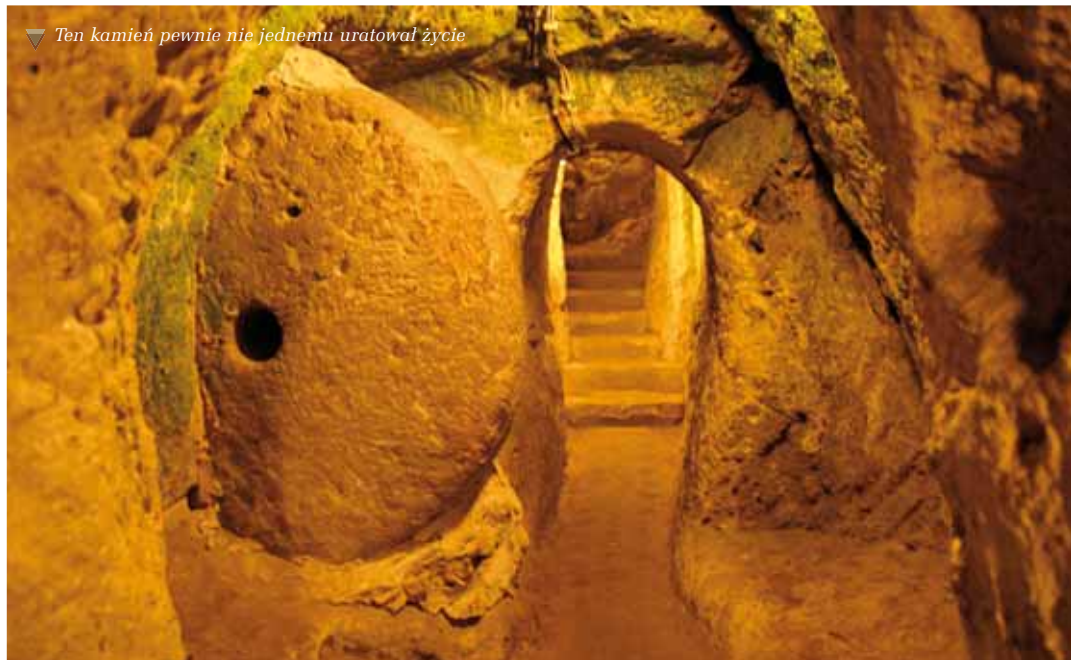
między grupami do zabytkowych świątyń, czasami uda się w nich nawet побыć przez moment w samotności.

Wieczorem znowu czekał na nas suto zastawiony stół w hotelowej restauracji. Zapiekane warzywa, sałatki i świeże, pachnące truskawki. I tylko z dobrą kawą były kłopoty, jej brak rekompensował wszechobecny „czaj”, mocna herbata, dająca także energetycznego kopa.

Nazajutrz opuszczaliśmy słodką Kapadocję, by udać się na jeszcze słodsze południe. Jej nazwa znaczy w języku perskim „kraj pięknych koni”. Hmm... Pięknych nie widzieliśmy, żywych też nie. Za to te mechaniczne, zamknięte pod maską niezniszczalnego puncniaka powiozły nas najpierw do podziemnego miasta, a stamtąd dalej, i dalej...

*Kamil Kasperek*

▼ *Ten kamień pewnie nie jednemu uratował życie*





### Jeszcze jedna niespodzianka



Przyznaję, nic o tym nie wiedziałem. W Turcji produkuje się wino. Byłem przekonany że w kraju muzułmańskim raczej nie należy spodziewać się dużego wyboru wina. A tu proszę, zajeżdżamy późno w nocy do Goreme w Kapadocji, a przed sklepikiem stojak z tutejszymi winami. W takich miejscach wina raczej nie kupuję, ale przynęta została rzucona. Następnego dnia zaopatrzyłem się w jedną butelkę, którą przywiozłem do domu. Kamil przestrzegwał, abym nie spodziewał się cudów i wino faktycznie nie rzuciło na kolana. Wspominając uciążliwy upał, liczyłem na wino bardziej dojrzałe, intensywniejsze, ale cóż powiedzieć po jednej butelce. Miałem nadzieję trafić do jakiegoś niewielkiego i niekomercyjnego wytwórcy. Przedstawiłem swoją prośbę naszemu przewodnikowi. Zawiózł nas do winnicy, cieszącej się starą tradycją, ale poczęstunek urągał wszelkim standardom kosztowania wina. Przed nami weszła do lokalu cała wycieczka. Zobaczyłem gości w krótkich spodenkach, skórzanych sandałach i białych skarpetkach, wszystko filmował. Boże, pomyślałem – Polacy. Nie wiele się pomyliłem – to byli Czesi, bądź co bądź naród, który wino wytwarza i pija. Obserwowałem ferajnę, kilku gości robiło wrażenie, że wino piją. Ale jak tu odnaleźć zapach wina w kieliszku w którym można by w najlepszym razie napić się schłodzonej wódki. Nasze miny musiały zdradzać te same uczucia – nic tu po nas. Butelkę wina jednak kupiłem. Już w Polsce poczytałem o tureckich winach. Moja ignorancja przekroczyła

wszelkie dopuszczalne granice. Winiarskie tradycje w Turcji sięgają czwartego tysiąclecia przed naszą erą! Potwierdza to nawet Biblia, ponoć Noe miał uprawiać wino na zboczach góry Ararat. Współczesna Turcja zajmuje czwarte miejsce na świecie pod względem powierzchni upraw winorośli. Obejmują sześćset tysięcy hektarów. Ale uwaga, na wino przeznaczają się jedynie 5% upraw, reszta trafia do... ciast jako rodzynek. Ostatnio kolega opowiedział mi, że gdy w sezonie turystycznym był w Kapadocji, to przed słynnym Open Air Muzeum zobaczył kierunkowskaz i napis w języku polskim „Wino z beczki”. Czyżby ziścił się wielki sen Marka Konrada i Polacy zaczęli być sławni na świecie jako koneserzy wina? Obawiam się, że do Turcji dotarły o nas inne wieści.

*Jacek Tokarski*

Organizatorem naszego wyjazdu była firma Sopol, [www.sopol.pl](http://www.sopol.pl)

